

Serja 5. Zajmujące czytanki przyrodnicze. Nr. 4.

E. S. Thompson

NOWE OPOWIADANIA Z ŻYCIA ZWIERZĄT

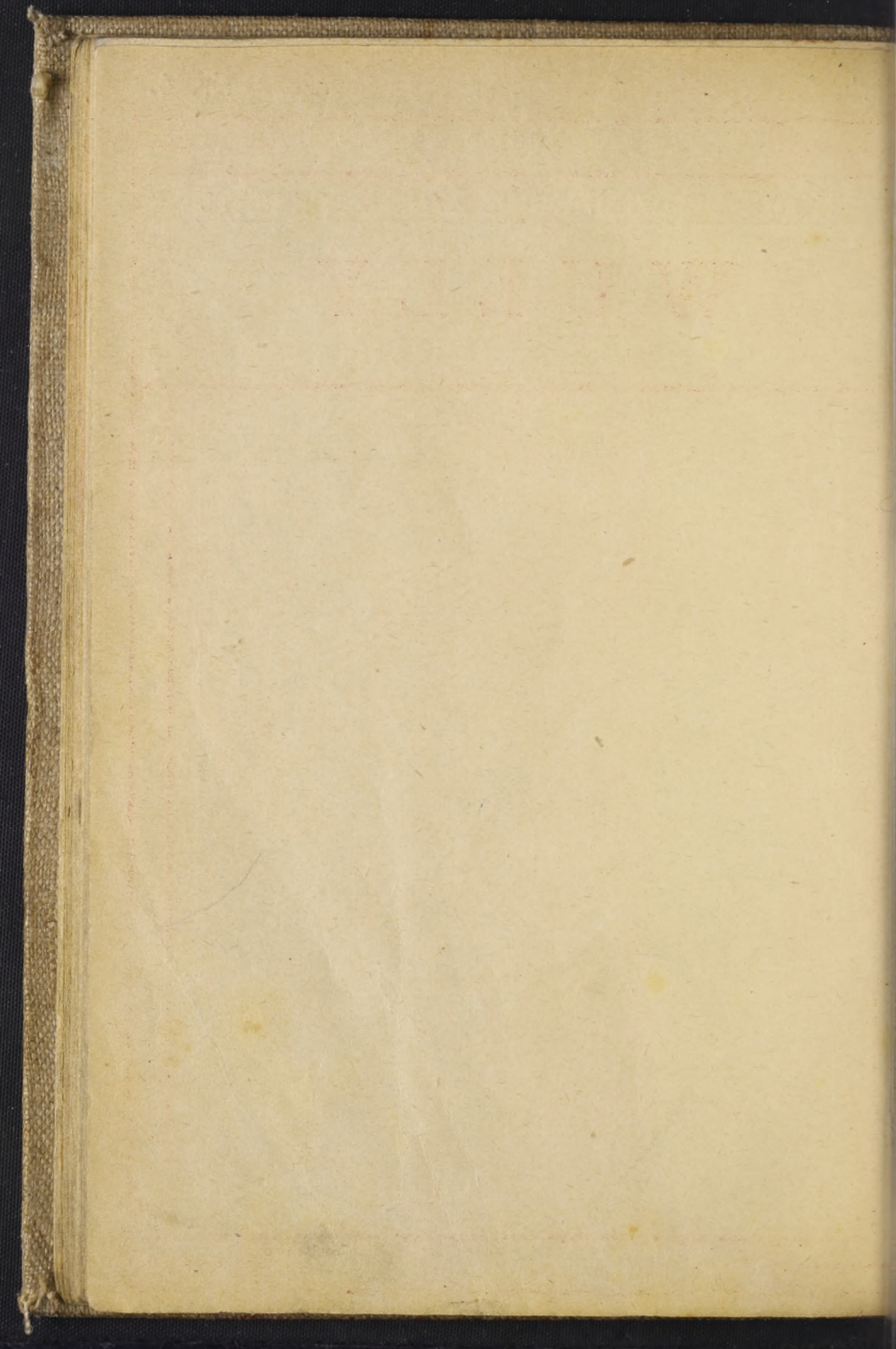
WULLY

PIES OWCZARSKI



Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

Cena kop. 10



Serja 5. Zajmujące czytanki przyrodnicze. N-r 4.

Ernest Seton Thompson.

NOWE OPOWIADANIA Z ŻYCIA ZWIERZĄT

II

WULLY

PIES OWCZARSKI

przetłómaczyła

Marja Hret-Golczewska

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

Kraków — S. A. Krzyżanowski — 1909



I. 315.382

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

1957D48/26



WULLY

PIES OWCZARSKI.

Wully był to mały żółty kundel. Pod tą nazwą rozumie się zwykle mieszańca bezrasowego i zwykle zapomina się, że to biedne pogardzane, nie dopuszczane do pokoju zwierzę zazwyczaj jest mądrzejsze, sprytniejsze i wytrwalsze niż jego rasowi krewniacy.

Wyobraźmy sobie na odludnej wyspie zwyczajnego kundla, drogiego charta i buldoga: który z tych trzech pozostałby przy życiu i zdrowu po sześciu miesiącach pobytu w głodzie i chłodzie? Napewno pospolity kundel. Wprawdzie nie jest on takim szybkobiegiem jak chart, ani tak odważnym jak buldog, ale za to posiada bardzo zdrowy rozum.

I.



Wully urodził się w Szkocji wysoko w górach. Właściciel jego pozostawił go przy życiu z jednym tylko bratem; brata dlatego, że był bardzo podobny do najlepszego psa z sąsiedztwa, a jego dlatego, że był ładny, malutki i żółty.

Młodość swoją spędził jak prawdziwy pies owczarski w towarzystwie doświadczonego owczarka, który go kształcił, i starego pastucha, który posiadał tyle doświadczenia ile jego uczeń. Po dwóch latach Wully dorósł i umiał tak obchodzić się z owcami, że stary pastuch spędzał całe noce w karczmie, podczas gdy Wully utrzymywał porządek wśród stada. Za to stary otaczał go taką pieczołowitością, że ten uwielbiał swego pana i okazywał mu wielkie uszanowanie, co było powodem zazdrości całej wsi. Wully nie umiał wyobrazić sobie wyższej istoty ponad Robina, chociaż ten ubóstwiany pan pobierał od właściciela owiec zaledwie pięć szylingów *) tygodniowej płacy.

Pewnego dnia właściciel polecił Robinowi przyprowadzić stado do miasta na targ. Na Wully'ego spadł cały ciężar tej podróży. Trzysta siedemdziesiąt sześć głupich owiec poprowadzić po przez góry, to nie bagatela!

*) Szyling = 50 kop



.... Wully utrzymywał porządek wśród stada....

Miasto, do którego zmierzała podróż, leżało na północy, na drugim brzegu zatoki. Sprowadzone z gór owce w zupełnym porządku wsadzono na prom i przewieziono na drugi brzeg. Zbliżano się do miasta. Wielkie kominy fabryczne



buchały dymem, co świadczyło o rozpoczętej pracy. Kłęby dymu unosiły się jak ciężkie ołowiane chmury. Owce, myśląc,

że to jest zapowiedź burzy, jak to zwykle bywało w górach, przerażone zaczęły uciekać, rozbiegły się w 376 kierunkach po ulicach miasta.

To było za wiele na słaby umysł starego pastucha. Patrzył więc bezradnie na rozbiegające się owce, aż wreszcie olśniony jakimś pomysłem: zawołał «Wully, sprowadź je!». Po tym wysiłku siadł wyczerpany na kamieniu przydrożnym i, bez wzruszenia wyczekując na skutek zabiegów Wullego, palił krótką fajeczkę.

Głos Robina był dla psa głosem Boga. Zaczął więc biegać w 376 kierunkach i po długich usiłowaniach zdołał wreszcie sprowadzić wszystkie owce na stanowisko, podczas gdy Robin siedział, obojętnie spoglądając od czasu do czasu na sprowadzane z manowców stado.

Wkońcu Wully, nie Robin, dał znak, że wszystkie już są na miejscu. Stary pastuch zaczął liczyć: 1, 10, 372, 373, 374, 375.

— Wully! — zawołał nagle z wyrzutem — a gdzie jest 376-sta owca?

Pies w okamgnieniu znikł, drżąc ze wstydu.

Tymczasem ledwie pies puścił się na poszukiwanie, zwrócił uwagę stojący opodal chłopczyk, że właściwie jest 376 owiec. Stary zaczął liczyć i przekonał się, że rzeczywiście tak było. Stał zakłopotany, — co teraz począć? Pan jego rozkazał mu jaknajprędzej przybyć do miasta, a psa jeszcze nie było. Pastuch wiedział, że pies jego nie wróci, zanim jakiegokolwiek owcy nie sprowadzi, choćby miał sprowadzić cudzą. Zdarzało się to już kilkakrotnie. Robin długo się namyślał, co ma dalej robić. Nie stawić się, to równało się utracie pięciu szyllingów tygodniowo; zostawić psa — żal mu było. Wreszcie postanowił nie czekać i wyruszył w drogę. Jak jednak dał sobie radę z tak wielkim stadem, niewiadomo, a zresztą mało to nas obchodzić może.

Tymczasem Wully przeleciał kilka razy całe miasto wzdłuż i wszerz, biegał cały dzień i noc, wreszcie zmęczony i zgłodzony wrócił do zajazdu, gdzie pozostawił swego pana z owcami. Ale jakież było jego zdumienie, gdy się przekonał, że pan jego już wyruszył. Okropnie przykro było parzyć na biednego psa, gdy z wywieszonym ze zmęczenia językiem, jęcząc i wyjąc, latał tu i tam, szukając śladów pastucha. Latał nad brzeg, wskakiwał do promu, na którym przeprawił się na drugą stronę, tam przeszukiwał okolicę i znowu powracał, obwąchując każdego, kto

zjawiał się z brzegu zatoki, przeszukiwał okoliczne zajazdy i karczmy,—wszystko nadaremnie. Wreszcie drugiego dnia udał się na brzeg i tutaj obwąchiwał każdego, kto wysiadał z łodzi. A że codziennie prom przeprował się z pięćdziesiąt razy i przewoził za każdym razem około 100 osób, Wully obwąchiwał dziennie około 10000 nóg, chcąc w ten sposób poznać, czy która nie skrzyżowała się w drodze ze śladami jego pana. Po tym mógłby poznać drogę swego stada. W ten sposób spędził cały tydzień. Wychudł i spochmurniał strasznie. Wprawdzie próbowali litościwi ludzie odciągnąć go od brzegu i nakarmić, ale wszelkie, najłagodniejsze nawet starania, doprowadzały psa do wściekłości. Pozostawili go więc w spokoju.

Mijały dni i tygodnie, pies nie opuszczał swego stanowiska, ale już bez ociągania brał jado, które mu ludzie przynosili. Nie ruszył się jednak z miejsca i nie dał się dotknąć nikomu, patrząc tylko tęsknym wzrokiem w przestrzeń, gdzie spodziewał się ujrzeć swego niezapomnianego, ubóstwianego pana.



W czternaście miesięcy po przybyciu Wully'ego do miasta zabrałem z nim znajomość. Był on ciągle jeszcze na swym dawnym stanowisku, ale mówiono mi, że odzyskał poprzedni ładny wygląd: mądra jego wydłużona głowa, otoczona była białym, puszystym kołnierzem, a odstające śpiczaste uszy nadawały mu bystrości. Obwąchał nogi moje równie starannie jak wszystkich i odsunął się zasmucony, tak, że pomimo różnych prób moich, aby zyskać jego przyjaźń, musiałem odejść tak jak wszyscy.

Dwa całkowite lata przepędził pies nad brzegiem, i choć niedaleko stąd znajdowało się jego dawne mieszkanie na wzgórzu, nie ruszył się, wyobraziwszy sobie widać, że bóstwo jego, Robin, chce, aby on tu siedział.

Czasem Wully wskakiwał na prom i przeprawił się tam i napowrót, a że przejazd psa kosztował zwykle jeden penny, obliczono więc, że przez te dwa lata towarzystwo przewozowe miało u Wully'ego dług, wynoszący około setki funtów sterlingów *).

Przez cały czas jednak nic nie było słyhać o starym pastuchu. Przepadł bez wieści.

Wreszcie zdarzyło się pewnego dnia, że przeprawił się przez zatokę jakiś barczysty pastuch



*) 1 funt szterling = 10 rb.

ze stadem owiec. Wully jak zwykle obwąchał go, ale tym razem nie odszedł, lecz pozostał przy nim, drżał na całym ciele i pomrukiwał. Jeden z przewoźników, widząc to, zawołał do przybysza: «pamiętaj, żebyś psu naszemu czego złego nie zrobił.» «Cóż ja mu mogę zrobić, odpowiedział pastuch, prędzej ja się jego obawiać mogę.» Ale pies patrzył na niego z wesołą miną, ogonem wymachując, pierwszy raz od lat dwóch.

Okazało się, że nowy przybysz był dobrym znajomym starego pastucha i dostał od niego kamasze i chustkę na szyję, które tamten poprzednio nosił. To wystarczyło dla wiernego psa. Stracił on już nadzieję zobaczenia swego dawnego pana i poszedł za tym, który był właścicielem chustki i kamaszy tamtego. Dorley, nowy pastuch, poprowadził stado swe na górę, a z nim i psa znalezionego. Wully stał się więc na nowo psem owczarskim.

II.

Dolina, leżąca wśród wzgórz owczarskich, była najbardziej znaną w okolicy. Znajdowała się tam tylko jedna karczma, której właścicielem był Jos. Natura przeznaczyła go na wojaka, okoliczności jednak zrobiły z niego karczmarza ze skłonnościami do..., ale lepiej o tym zamilczeć. Kradzież zwierzyny była jednak rzeczą codzienną w tej okolicy.

Nowa ojczyzna Wully'ego leżała tuż nad tą karczmą na wysokim wzgórzu. Tutaj pilnował

on swego nowego stada owiec z taką samą gorliwością jak poprzednio. Był zawsze w pogotowiu do walki z obcemi, którym przy spotkaniu pokazywał ostre zęby, ale dla stada swego był niezrównanym stróżem, tak, że Dorlejowi nie zginęła w tym roku żadna owca, chociaż sąsiedzi jego nieraz musieli liczyć się ze szkodami, doznawanemi od lisów i innych napastników.

Polowania na lisy nie były praktykowane w tych stronach. Nierówny grunt, wysokie zręby skaliste, liczne pagórki i dogodne kryjówki uniemożliwiały wysiłki myśliwych, należy się więc dziwić, że pomimo to lisy nie opanowały zbyt-
nio okolicy. Dopiero od niedawna zjawił się tam jakiś stary, przebiegły lis i zaczął używać wśród owiec jak mysz w tłustym serze, śmiejąc się ze wszystkich pomysłów strzelców i owczarków, którzy się wysilali na ostrożność i fortele.

Niejednokrotnie myśliwi gonili go psami i na koniach, zawsze zdołał się skryć w jakąś dziurę djabelską, w jakąś jaskinię o niezmierzonej rozciągłości, skąd go żadną siłą wydobyć nie można było. Okoliczni ludzie twierdzili, że jest on pochodzenia czarciego, a gdy wkrótce potem wściekł się pies, który lisa tego podobno już raz miał chwycić, mniemanie to zostało ogólnie przyjęte.

Krwiożerczy lis wyrzą-
dzał tymczasem straszne



spustoszenia, tak, że można go było posądzać, że te polowania mordercze odbywa tylko dla przyjemności. Pastuch Digby stracił jednej nocy dziesięć owiec, następnej Karol siedem; to znowu znikły jednej nocy wszystkie kaczki z sadzawki proboszcza; słowem, nie minął dzień, w którymby nie zginęła jaka owca, kura a nawet cielę.

Wszystkie te kradzieże i mordy przypisywano wyłącznie temu djabelskiemu lisowi. Nikt go wprawdzie nie widział, ale po dużych śladach łap jego na ziemi wyobrażano sobie, że musiał być znacznych rozmiarów. Dziwiono się tylko dlaczego Donner i Doria, najlepsze psy myśliwskie nie chciały iść za temi podejrzanemi śladami.

Chłopi z całej okolicy postanowili urządzić wielkie polowanie pod dowództwem Josa, czekali tylko pierwszego śniegu, aby śladami tego straszego lisa idąc, wyszukać go i pomścić tyle krzywd poniesionych. Śnieg jednak nie pojawiał się, a czyny domniemanego rudowłosa stawały się coraz słynniejsze. Nigdy nie przyszedł on do tej samej zagrody chłopskiej raz po raz, nigdy nie jadł tam, gdzie popełnił mord i nigdzie nie zostawiał na drodze śladów, po którychby mógł się zdradzić.

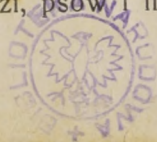
Pewnego razu jednak udało mi się ujrzeć go. Było to w nocy, gdy powracałem do domu podczas strasznej burzy. Zmuszony rześystym deszczem, przystanąłem pod dachem owczarni, gdy,

wtym, uderzył w bliskości mnie piorun. W blasku błyskawicy ujrzałem przerażający obraz: oto przy drodze siedział olbrzymi lis, spojrzał na mnie błyszczącymi ślepiami i znacząco oblizywał sobie pysk. Nic więcej dostrzec nie zdołałem. Wydawało mi się na razie, że to było przywidzenie wybujałej mojej fantazji,



ale następnego dnia dowiedziałem się, że właśnie i tej nocy zginęło dwadzieścia owiec.

Jedno tylko stado nie ponosiło żadnych szkód, mianowicie Dorleya, co wydawało się tym dziwniejszym, że obozowało ono pośrodku wsi, nie daleko nawet od czarnej dziury. Pies jego wiadać przewyższał w czujności wszystkie inne. Co wieczór przyprowadzał on swe owce do domu i nigdy nie brakło żadnej. Zdawało się, że dziki lis tak się boi słynnego z odwagi psa, że nawet nie śmie zbliżyć się do stada. Każdy otaczał więc szacunkiem Wully'ego, i byłby on z pewnością ulubieńcem wszystkich, gdyby nie to, że stawał się z każdym dniem złośliwszym. Lubił tylko swego pana i córkę jego Huldę, młodą, ładną dziewczynę, resztę członków rodziny znosił, wszystkich zaś mieszkańców świata, ludzi, psów i innych zwierząt, zdawał się



nienawidzieć. Dla owiec Dorleya był nadzwyczajnie dobry i troskliwy i niejedna zawdzięczała mu życie; niejedna byłaby skończyła w wodzie lub porwana przez orła, gdyby nie on. Dzielnym Wully potrafił nawet raz tak odstraszyć króla ptaków, że ten w okolicy się więcej nie pokazał.

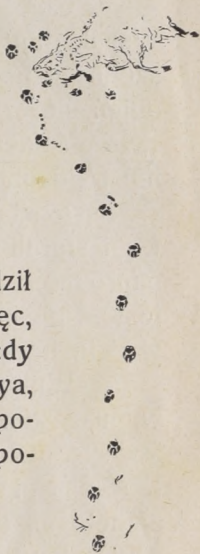
III.

Gdy śnieg się pojawił, obliczali znowu chłopi straty, jakie wyrządził im ten lis tajemniczy. Wdowa Gelt straciła całe swoje stado, a z nim cały swój majątek, sąsiad jej kilkanaście owiec i t. d. Nie zwlekając więc, wybrali się o brzasku wszyscy poszkodowani, z karczmarzem Jos na czele, na poszukiwanie w śniegu śladów zbója. Rzeczywiście, od chaty wdowy zaczęły się jakieś ślady łap, niezawodnie lisa. Z początku ślad ten widać było wyraźnie, nad rzeką jednak znikł. Widać było, że tutaj zwierzę wskoczyło do wody. Cała gromada przeprowiła się na drugi brzeg, ale tu długo nie znajdowano żadnych śladów. Szli więc wzdłuż rzeki z prądem, aż wkońcu znaleźli nowe ślady na odległości



ćwierć kilometra. Tutaj zapewne lis wyskoczył z wody. Stąd szedł ślad aż do wielkiego kamienia po-

krytego śniegiem, ale że wiatr zmiótł śnieg, więc znowu śladów rozpoznać nie można było. Nieco dalej pojawiły się znowu na drodze jezdnej, ale tu tak były pokręcone, że zaczęto się sprzeczać: jedni utrzymywali, że lis poszedł na lewo, drudzy że na prawo. Wreszcie Jos przeciął spór i skierował całą wyprawę w stronę zabudowań, gdzie stały owczarnie Dorleya. Tutaj ślad lisa wydawał się kończyć.

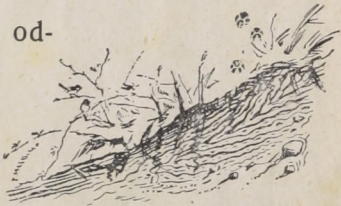


Dnia tego Dorley nie wyprowadził stada na pastwisko, Wully leżał więc, leniwie wyciągając się na słońcu. Gdy chłopci zbliżyli się do chaty Dorleya, pies zaszczekał na nich złośliwie i pośpieszył w stronę owczarni. Jos poszedł za nim i rzuciwszy wzrokiem na świeże ślady w śniegu, wykrzyknął:

— Patrzcie, lisa nie odkryliśmy, ale tutaj mamy mordercę!

Cała gromada przystała zdumiona: jedni przyznawali mu słuszność, drudzy utrzymywali, że trzeba by dla pewności jeszcze raz przyjrzeć się śladom od początku. W tej chwili wyszedł z chaty Dorley.

— Słuchaj, przyjacielu—odezwał się Jos z całą stanowczością w głosie — pies twój zagryzł



tej nocy wszystkie owce wdowie Gelt, ja powątpiewam, żeby to miał być pierwszy jego rabunek.

— Co — zdumiał się Dorley — czyś oszalał? Wszak nigdy nie miałem lepszego psa, wierniejszego stróża, on po owcę gotów w wodę lub ogień skoczyć.

— Tak, tak — mrucał Jos — dowiódł właśnie tego ubiegłej nocy.

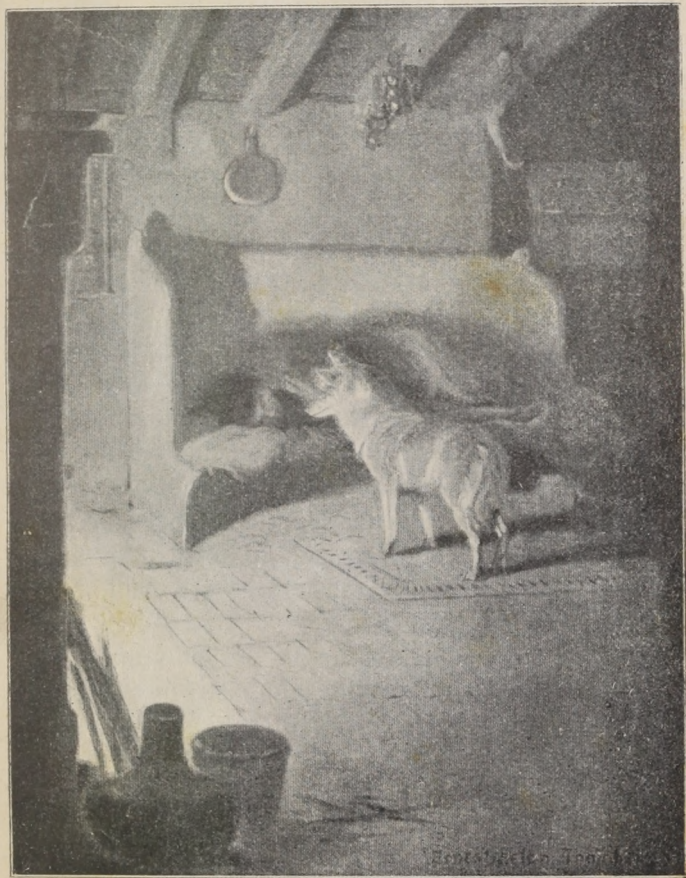
Sąsiedzi opowiedzieli Dorleyowi całą wyprawę i starali się go przekonać. Wszystko jednak na próżno. Owczarz utrzymywał, że Wully nie jest winien i że jestto tylko zмова sąsiadów w celu odebrania mu mądrego stróża.

— Wully śpi zawsze w kuchni i dopiero rano wypuszczam go, gdy stado wyprowadzam na pastwisko. Cały rok mam go u siebie i przez cały ten czas pies wiernie mi służy, żadne jagnię nie zginęło mi dotychczas.

Dorley zapalał się coraz więcej w obronie swego psa. Jos z towarzyszami rozgorączkowali się również i byłoby doszło może do bójki, gdyby nie Hulda, która, słysząc to wszystko, zawołała:

— Ojczy, ja tej nocy będę spać w kuchni. Jeśli Wully będzie usiłował uciec, zobaczę to i naturalnie, zatrzymam go. Gdyby jednakże i tej nocy znikły komu owce, będzie to dowodem niewinności naszego psa.

Wszyscy zgodzili się na tę próbę i pozostawili rozstrzygnięcie sprawy do dnia następnego.

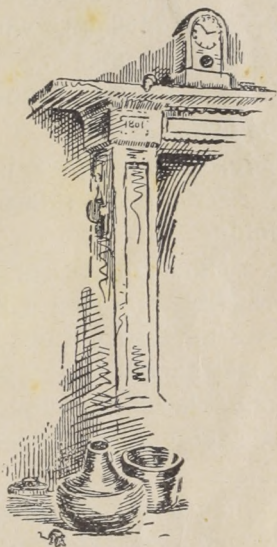


Pies przysunął się bliżej, patrzył na nią uważnie i ode-
tchnął głęboko tuż przy jej twarzy.

Wieczorem Hulda posłała sobie na ławce w kuchni i położyła się. Wully spał jak zwykle pod stołem. Po kilku godzinach pies poruszył się niespokojnie, wstał, ale zobaczywszy Hulde, położył się napowrót pod stołem. Wkrótce znowu się podniósł, spojrział na niskie okno i na niby śpiącą dziewczynkę. Hulda leżała cichutko, oczy miała przymknięte, oddychała równo, tak jak we śnie. Pies przysunął się bliżej, patrzył na nią uważnie i odetchnął głęboko tuż przy jej twarzy. Nie poruszyła się. Polizał następnie ją w policzek i nastawiwszy ostro uszy, przyglądał się jej bystro. Nic jednakże nie zdołało poruszyć dziewczynki. Machnąwszy ogonem, Wully udał się wreszcie ku oknu, skoczył cichutko na stół, wsunął nos w szparę okna i podważył je tak, że mógł się przez nie prześlizgnąć, a potem wolno zeskoczył, spuszczać lekko okno, po swym grzbiecie i ogonie. Widać, że się do tej sztuki długo i zręcznie wprawiać musiał. Po chwili znikł w ciemnościach.

Hulda przyglądała się temu wszystkiemu przeżona. Poczekala chwilę, żeby się upewnić, że pies już się oddalił, i wstała, chcąc ojcu opowiedzieć to, co widziała. Zastanowiwszy się jednak chwilę, postanowiła doczekać powrotu psa. Podłożyła drwa do ognia i położyła się znowu. Godziny płynęły, a Hulda, leżąc spokojnie i wsłuchując się w «tik tak» zegara, rozmyślała, czyżby rzeczywiście ulubiony ich pies był mordercą tyłu owiec? Wydawało się jej to, pomimo wszyst-

ko, niemożliwością. Po paru godzinach, usłyszała lekki szelest przy oknie. Serce jej biło z niepokojem. Okno otworzyło się i Wully wskoczył cichutko do kuchni. Przy słabym ogniu kominka dojrzała Hulda jakiś dziwny, dziki błysk w oczach psa, a śnieżno-biała pierś jego pokryta była świeżą krwią. Pies wstrzymał oddech, aby się przekonać, czy Hulda śpi, potem położył się na ziemi i zupełnie spokojnie lizał swe łapy i piersi, pomrukując z cicha, jakby na wspomnienie tylko co ukończonej uczy.



Hulda miała już jasny dowód tego, co się stało. Jos miał słusność. Ten tajemniczy lis leżał u jej stóp. Nie mogła przewyciężyć uczucia wstrętu i zgrozy. Wstała, spojrziała psu prosto w oczy i zawołała:

— Wully, Wully! a więc to prawda? Ty wstrętny drapieżco!

Głos jej drżący rozbrzmiał w ciszy nocnej. Pies skamieniał, jakby piorunem rażony. Rzucił zwątpiałym wzrokiem na okno zamknięte, oczy jego zabłysły i cały kulił się, jakby spokorniał pod wzrokiem mówiącej. Przytulił się do ziemi i wydawało się, że prosić chce o przebacze-

7308

— 20 —

ne. Wolno, wolniutko pelznął do jej nóg jakby w zamiarze polizania ich, a gdy już był tuż przy niej, skoczył z wściekłością tygrysa, cicho, bez wydania dźwięku, wprost na piersi przestraszonych dziewczynki.

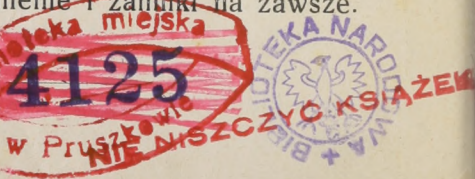
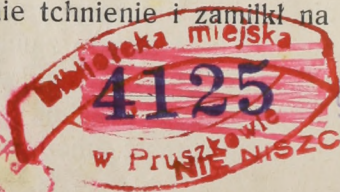
Było to tak niespodziane, że Hulda zdążyła zaledwie zasłonić się rękami. Pies wpił swe białe, ostre zęby w jej ramię i gryzł.

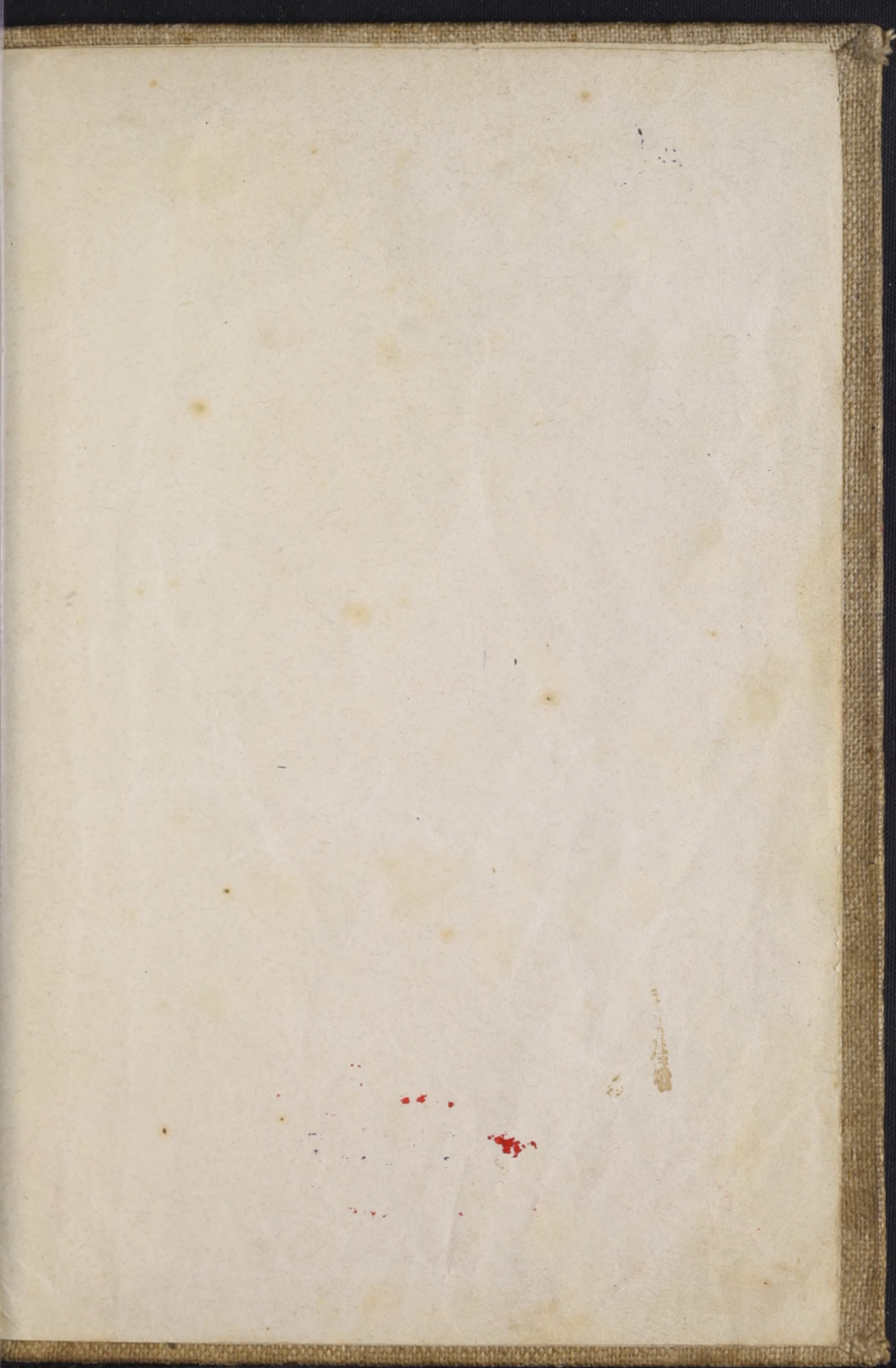
— Ratunku, ratunku! ojcze! ojcze! — wołała Hulda.

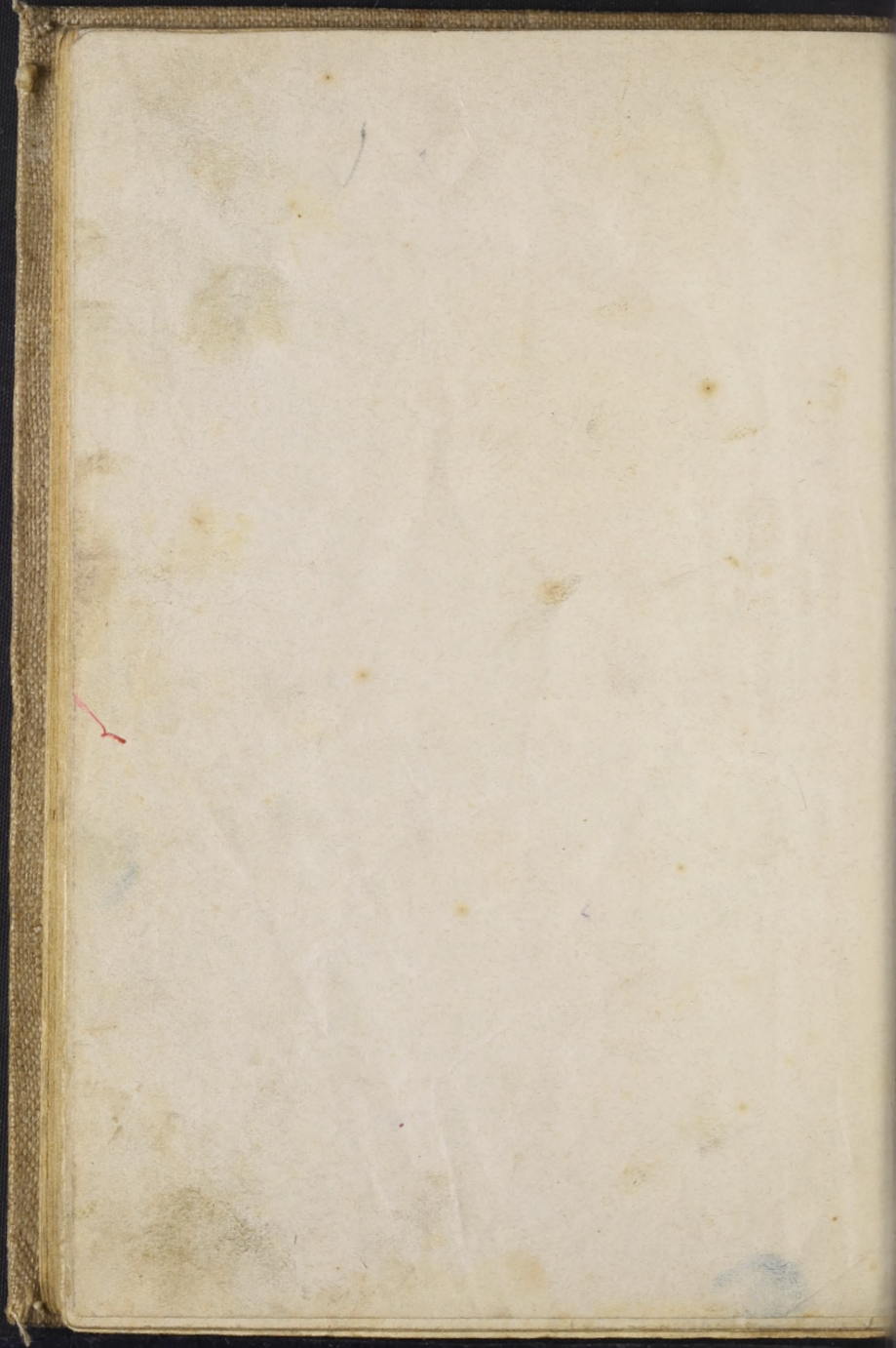
Zanim ojciec przybiegł, Hulda broniła się wszystkimi siłami i zdołała psa na chwilę oderwać od siebie. Lecz ten znowu się rzucił i gryzł z całą zajadłością ręce, które go dotychczas głaskały i karmiły. Wreszcie przypadł do szyi i już, już zagłębiał kły w delikatne jej ciało, gdy wpadł ojciec.

Pies puścił dziewczynę i rzucił się na niego z równą zaciekłością gryząc mu ręce. Dorley, oswobodzwszy jedną rękę, drugą chwycił leżącą w pobliżu siekierę i zadał cios w kark psa, tak, że ten upadł. Drugie uderzenie—i pies leżał z roztrzaskaną czaszką przed kominkiem, tu, gdzie tyle czasu przeżył szanowany, pieszczony...

W chwilę potem Wully, ten mądry, odważny, wierny Wully, a zarazem ten zdradziecki Wully, wydał ostatnie tchnienie i zamilkł na zawsze.







Ab. Laberg.
17.5.57.



315382

315384